



PAWEŁ BOŻYK

Hanka
Miłość
Polityka

ZYSKI I S-KA
WYDAWNICTWO

Hanka
Miłość
Polityka

PAWEŁ BOŻYK

Hanka Miłość Polityka



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Copyright © by Paweł Bożyk, 2011
All rights reserved

Projekt graficzny okładki
Agnieszka Herman

Fotografie zamieszczone w książce pochodzą z archiwum Autora.

Redaktor
Bogusław Jusiak

Opracowanie graficzne i techniczne
Jarosław Szumski

Wydanie I

ISBN 978-83-7506-838-2

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
Dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Hani, która była sensem mego życia

Chciałbym serdecznie podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania tej książki.

Najważniejszą rolę odegrała, rzecz jasna, Hanka — moja Żona. Gdyby nie Ona, książki nie byłoby nigdy. Nieocenionej pomocy udzieli mi przyjaciele Hanki, z którymi spędziła dzieciństwo, studiowała i pracowała zawodowo, a także jeździła na urlopy i odwiedzała niezliczone kraje. W tej grupie chciałbym imiennie podziękować Grażynie Kaszyńskiej, Halinie Kowalskiej, Halszce Wasilewskiej-Wasyłyszyn i Małgosi Ławacz, a także Piotrkowi Szuyskiemu i Piotrowi Figłowi.

Konsultacji merytorycznych udzieliło mi wiele osób, w szczególności: Andrzej Zaniewski, Ernest Bryll, Joanna Wielgat i Bolek Płaza, a także dziesiątki pierwszych czytelników wersji elektronicznej książki.

Wielką pomocą służył mi Sekretarz Generalny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Stefan Truszczyński oraz dziennikarze telewizji, radia, prasy i Internetu, którzy wykazali szczególne zainteresowanie historią Hanki. Wyemitowane audycje i opublikowane artykuły zostały zawarte na stronie internetowej www.hankabozyk.pl, którą w ciągu pół roku odwiedziło prawie 400 tysięcy osób.

Nie obyło się też bez dyskusji z naszym synem Piotrkim i jego żoną Małgosią, moim bratem Michałem i innymi członkami rodziny.

W trakcie pisania książki podtrzymywali mnie na duchu: ksiądz prałat Józef Roman Maj, proboszcz Parafii Św. Katarzyny, z którym Hanka studiowała na Uniwersytecie Warszawskim, a także Muamer Bourtagdziraj, założyciel Wyższej Szkoły Ekonomiczno-Informatycznej w Warszawie, w której pełniłem funkcję rektora. Wielką rolę odegrał ponadto profesor Ken Morita z Hiroszimy, przyjaciel naszej rodziny.

Osobne podziękowania należą się Tadeuszowi Zyskowi, szefowi wydawnictwa Zysk i S-ka w Poznaniu, które książkę przygotowało i wydało w ekspresowym tempie i na wysokim poziomie.

Paweł Bożyk

Zamiast wstępu

Jest to opowieść o życiu i miłości, a może o miłości i życiu. Oba te wątki przeplatają się wzajemnie i nie wiadomo, który jest ważniejszy.

Wątek o życiu jest niezwykle, niezwykle są bowiem losy Hanki i moje. Nasze życie było barwne i burzliwe. Na początku wszystko nas dzieliło. Ona — panienka z dobrego domu, o błękitnej krwi, niezwykle urodziwa, dobrze wychowana, ciepła i serdeczna w stosunkach z ludźmi, mimo że bardzo wcześnie zabrakło jej rodziców. Ja — sierota od wczesnego dzieciństwa, wychowanek domu dziecka, schowany pod skorupą nieczułego twardziela, ale niezwykle pracowity i chyba trochę zdolny.

Wątek o miłości jest jeszcze bardziej niecodzienny niż wątek o życiu. Od chwili spotkania nie mogliśmy żyć bez siebie. Każde, nawet najkrótsze rozstanie wiązało się z tęsknotą, jakby w obawie, że nie spotkamy się już nigdy.

Nasze życie na pozór było usłane różami. Szybko znaleźliśmy się na szczytach kariery — naukowej, politycznej, towarzyskiej. Spotykaliśmy się z moźnymi tego świata, z ludźmi polityki, nauki, kultury, znanymi z pierwszych stron gazet, i to nie tylko w Polsce, lecz także za granicą. Zwiedziliśmy prawie cały świat, publikowaliśmy tam artykuły i książki. Czyż można od życia oczekiwać czegoś więcej? Każdy przecież o tym marzy.

A jednak Hanka ciągle żyła w strachu, że mnie utraci, każdy mój wyjazd budził w niej niepokój, że zginę w wypadku bądź porzucę ją dla innej. Nie wiem, dlaczego tak myślała, mogła być pewna, że nigdy nie zostawiłbym jej samej. Przez całe życie miałem przed oczyma sen z nocy poślubnej, w którym Hanka nagle umie-

ra i zostawia mnie płaczącego. Nigdy nie zapomniałem o tym śnie. Każda choroba Hanki budziła mój lęk. Do rozpaczy doprowadziło mnie wykrycie u niej niezwykle rzadkiej, zagrażającej życiu choroby oka. Jeszcze większym koszmarem był nawrót tej choroby po dwudziestu latach. Hanka nie dała się jednak pokonać chorobie i z pomocą medycyny została skutecznie wyleczona.

Zmarła nagle, niespodziewanie, w pełni sił i rozkwicie urody, osierocając mnie, syna, rodzinę i zostawiając dziesiątki przyjaciół i tysiące znajomych. Szanse na dalsze wspólne życie odebrała nam dyspozytorka pogotowia ratunkowego, która zlekceważyła wezwanie, gdy Hanka potrzebowała pomocy lekarza. Czy musiało do tego dojść, by spełniła się przepowiednia przekazana we śnie w czasie nocy poślubnej?

Szok, jaki przeżyłem, stał się głównym powodem dokonania retrospekcji naszego życia i miłości, szukania odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób miłość ta pokonała wszelkie przeszkody pojawiające się na naszej drodze.

Najważniejszą z nich była z pewnością polityka. Wpadłem w jej wir przypadkowo pod koniec 1972 roku. Do tego czasu niewiele mnie interesowała. Może dlatego los zagiął na mnie parol, wykorzystując do tego celu argument szczególnej wagi — przedstawioną osobiście przez Edwarda Gierka propozycję pracy w charakterze jego asystenta (lub, jak kto woli, doradcy). Gierek był wtedy I sekretarzem KC PZPR, u szczytu powodzenia i sławy. Czy chłopak, który piętnaście lat wcześniej przyjechał do Warszawy z domu dziecka, nie znając tu dosłownie nikogo, mógł się temu oprzeć? Ja się nie oparłem.

Polityka nie sprzyjała naszej miłości. Hanka pochodziła z rodziny ceniącej wartości zgoła odmienne od tych, które gloryfikowała polityka PRL-u. A jednak nie zostałem postawiony przed dylematem: miłość albo polityka. Hanka zaakceptowała mój wybór. Gdyby było inaczej, z pewnością nie zdecydowałbym się na tę pracę.

Hanka była mądrą kobietą, trzymała rękę na pulsie mojego romansu z polityką, nigdy jednak bezpośrednio się do niej nie wtrącała. Ale zawsze, gdy miałem chwile wahania, a było ich wiele, potrafiła podpowiedzieć mi słuszny wybór, chroniła mnie przed popełnianiem błędów. Była głęboko zaangażowana we wszystko,

co robiłem, żyła tym, czym ja żyłem. Jednocześnie była twardą kobietą. Strzegła naszej miłości z żelazną konsekwencją, ingerowała bez skrępowań wtedy, gdy widziała powstające zagrożenie. Broniała też wartości, które wyznawała. Jako katoliczka chciała wziąć ślub kościelny, ochrzcić syna i wychować go zgodnie ze swymi przekonaniem. A ja spełniłem te warunki, nie obawiając się reakcji otoczenia.

Pierwotnie książka ta miała powstać dwadzieścia lat wcześniej, w pierwszych dniach transformacji. Byłem już w przededniu podpisania umowy wydawniczej. Wtedy to Hanka odebrała telefon od anonimowego rozmówcy, który „poradził” jej, by namówiła mnie do rezygnacji z publikacji książki.

— Jest pani piękną, młodą kobietą — usłyszała Hanka. — Czy chciałaby pani do końca życia chodzić o kulach, i to bez męża, bo o wypadek samochodowy przecież nietrudno?

Argumenty były przekonujące, tamta książka nigdy nie powstała, ta tylko częściowo nawiązuje do pierwotnego pomysłu. Tam miało być dużo o polityce, mniej o miłości, tu jest dużo o miłości, mniej o polityce.

Jeżeli w tej książce udało mi się pokazać choć w części, jakim wspaniałym człowiekiem była Hanka, ile jej zawdzięczam i jak mi jej brakuje, to moje zamierzenie zostało zrealizowane.

I

Pierwsze kroki w dorosłość

Z różnej gliny

Nie spotkałbym się z pewnością nigdy z Hanką, gdyby nie wojna. Ulepieni zostaliśmy bowiem z innej gliny, żylibyśmy w zupełnie różnych miejscach, obracalibyśmy się w innym towarzystwie.

Rodzice Hanki mieszkali w Warszawie, należeli do inteligencji, w żyłach matki, Ireny Frank, płynęła błękitna krew, jej przodkowie przywędrowali tu z Belgii. Ojciec Hanki, Julian Burno, wywodził się z rodziny łódzkich fabrykantów.

Oboje byli bardzo przystojni. Matka, Irena, średniego wzrostu szatynka, wysportowana, świetnie jeżdżąca na nartach, podobała się mężczyznom. Nie bez powodu szybko zauważył ją Bartek, bo tak Juliana nazywała rodzina i przyjaciele, przyszły mąż. Miał prawie 190 cm wzrostu, a więc dobre fizyczne warunki, by przed innymi dostrzec Inkę.

— Dlaczego o twojej mamie mówi się Inka? — zapytałem kiedyś Hankę, gdy wspomniała o matce. — Przecież na imię miała Irena.

— Tak, Irena, ale mama nie wymawiała „r”, wołała przedstawiać się jako Inka, krótko i bez „r”.

Bartek był doskonałym pływakiem, jeszcze jako student reprezentował AZS w ogólnopolskich zawodach pływackich i wygrywał. Hanka odziedziczyła po ojcu zdolności i zamiłowanie do pływania, była specjalistką od średnich dystansów. Bartek był też doskonałym narciarzem. Co najmniej raz w roku lądowali z Inką w Zakopanem, na Hali Gąsienicowej, na Nosalu bądź na Gubałówce. Zachowało się wiele zdjęć z tych zjazdów; kroniki rodzinne nie zanotowały jednak ani jednego wypadku, złamania nogi, musieli więc jeździć bardzo dobrze.

Moi rodzice żyli na Kresach. Ojciec przywędrował ze Słowacji.

Matka należała do rodziny broniącej polskości na tych terenach, zwłaszcza w stosunkach z Ukraińcami. Zapłacała za to życiem.

Gdyby nie wojna, obie rodziny żyłyby zapewne długo i szczęśliwie, nic o sobie nie wiedząc. Ich drogi nie mogłyby się przeciąć, bo i jak? Hanka i ja nie dowiedzielibyśmy się nawet o swoim istnieniu. Ona ukończyłaby zapewne studia wyższe, może filologię, bo w tym zakresie była szczególnie uzdolniona, albo zostałaby pianistką, bo miała słuch absolutny i talent muzyczny. Ja pewnie zostałbym księdzem, moich rodziców nie stać było na opłacenie nauki w szkole średniej i na uniwersytecie. Miałem jednak zdolności do nauki, w szkole podstawowej byłem prymusem, co nie uszło uwagi księdza.

Ale wybuchła wojna i świat przewrócił się do góry nogami. Pomieszały się losy Polaków. Ojciec Hanki wstąpił do Armii Krajowej i walczył w podziemiu. Szybko został aresztowany przez Niemców i wysłany do obozu w Buchenwaldzie. Tam zginął, nie doczekawszy końca wojny. Matka przeżyła wojnę, ale przyszło jej samej borykać się z życiem w najtrudniejszym okresie powojennym. Mieszkanie w Warszawie zostało zburzone, została więc przygarnięta przez rodzinę męża w Łodzi. Powodziło się jej nie najlepiej. Rodzina byłych łódzkich fabrykantów została pozbawiona wszystkiego. Nowa władza dopilnowała tego z dużą konsekwencją.

Matka Hanki studiowała w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Wybuch wojny uniemożliwił jej obronę pracy magisterskiej. Być może dzięki temu po wojnie uniknęła nakazu pracy w jakimś pegeerze lub spółdzielni produkcyjnej. Dla dziewczyny z tzw. dobrego domu przymusowe osiedlenie na wsi zakończyłoby się tragicznie. Lepiej było za nędzną pensję urzędniczą wegetować w Łodzi, gdzie przy pomocy rodziny można było jakoś przeżyć.

Całe swe życie matka Hanki poświęciła córce. Starła się jej zapewnić jak najlepsze warunki egzystencji, a po wojnie nie było to łatwe. Pomagała jej niania Hanki — Bronia, pozostałość przedwojennego luksusu. Obie robiły, co mogły, by dziewczynka rozwijała się i uczyła normalnie. Od najmłodszych lat Hanka wykazywała ponadprzeciętne zdolności językowe, błyskawicznie uczyła się języków obcych. Matka za ostatnie pieniądze posyłała ją na naukę francuskiego i muzyki. Na pianino nie było ich jednak stać, nie

miały zresztą miejsca, by je postawić. Mieszkały w klitce na zapleczu sklepu babci, przy Piotrkowskiej.

Hanka była bardzo dobrą i pilną uczennicą, bez problemu przechodziła z klasy do klasy. Może tylko matematyka nie należała do jej ukochanych przedmiotów. Wolała czytać. Pochłaniała tony książek. Miała wiele koleżanek z klasy i spoza niej. A także wielu adoratorów w swoim wieku. Nosili za nią tornister, wzdychając do pięknej, wyrosniętej dziewczynki z jasnymi, kręconymi, prawie białymi włosami.

Ten okres dziecięcej beztroski skończył się nagle, gdy zmarła matka. Hanka została sierotą. Opieką otoczyła ją babcia, matka ojca, i jego siostra. Rodzina matki dziewczynką się nie interesowała. Wkrótce opiekę nad nią przejęła rada familijna, której przewodniczącym był ojciec chrzestny Hanki, znany adwokat warszawski Lewiński. Hankę przeniesiono do Warszawy, na krótko zamieszkała w domu mecenasa, potem ulokowano ją w szkole z internatem u nazaretanek. Tu rozpoczęła naukę najpierw w gimnazjum, potem w liceum.

Znalazła się wśród tłumu pańienek z dobrych domów, przyzwyczajonych do luksusu, mających wielu adoratorów, przeważnie z tych samych sfer co one. Sama nie mogła otrząsnąć się z żałoby. Chodziła skromnie ubrana, gładko uczesana. Na kilometr było widać, że jest z innej parafii. Cicha, nieśmiała. Gdzie podziało się to radosne dziewczątko z Łodzi, brylujące wśród rówieśniczek, adorowane przez kolegów?

Czas jednak leczy rany. Mijały tygodnie, miesiące, lata. Musiała wrócić do żywych, stać się jedną z uczennic szkoły Nazaretanek. Ukończyła ją z wyróżnieniem, maturę zdała w wieku niecałych siedemnastu lat.

Jako kierunek studiów wybrała filologię romańską. To zrozumiałe, języka francuskiego nauczyła się jeszcze w Łodzi, u dobrych nauczycieli. Łatwo zdała egzamin wstępny i została studentką. I znowu znalazła się w grupie, do której całkowicie nie pasowała. Jej koleżanki były w większości córkami ówczesnych dygnitarzy państwowych i partyjnych. Na uniwersytet przywoziły je codziennie limuzyny rządowe. Filologia romańska była wówczas w modzie. Nowe elity władzy szykowały swe córki do wejścia na salony.

Jak ona, sierota, utrzymująca się tylko z renty po rodzicach, czuła się w tej sytuacji? Zrozumiała od razu, że to nie jej towarzystwo. Wychowała się przecież w atmosferze niechęci do nowego ustroju. Przedwojennych właścicieli fabryk PRL pozbawił wszystkiego. Matka o mało nie została robotnicą rolną. Ciotka straciła męża, oficera wojska polskiego, zamordowanego w Katyniu.

Hanka kontynuowała więc przyjaźnie z koleżankami z liceum Nazaretanek. Wkrótce poznała też nowych kolegów z romanistyki, normalnych, niezadzierających nosa, z którymi można było porozmawiać jak równy z równym. Nie mieli nic wspólnego z polityką, ani oni, ani ich rodzice. Chcieli ukończyć studia wyższe, bo to im stwarzało szansę na lepsze życie.

Ja urodziłem się w okolicach Lwowa, na przedmieściach Rawy Ruskiej. Mój ojciec, Mikołaj, przyjechał tu ze Słowacji, gdzie był zawodowym wojskowym. Nikt z rodziny nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, czy najpierw Mikołaj poznał swoją przyszłą żonę, a dopiero potem na stałe zamieszkał w Polsce, czy kolejność była odwrotna.

Moja matka, Franciszka, na co dzień nazywana przez rodzinę i znajomych Franką, była pupilką wuja, brata jej matki, prawnika we Lwowie. Wuj był kawalerem i Frankę traktował jak córkę. W okolicach Rawy Ruskiej miał on piękny dom, który pełnił funkcję rezydencji letniej. Tuż przed wojną podarował go swej siostrze, do dziś jest zresztą użytkowany przez rodzinę. Franka często bywała we Lwowie i być może tam poznała swego przyszłego męża. Mikołaj był urodziwy, podobał się więc kobietom. Szybko znalazł zatrudnienie u wuja, gdzie pracował aż do wojny.

Ojciec nie miał w Polsce rodziny, o jego słowackich krewnych nic nie wiadomo. Nikt z nich nigdy nie kontaktował się ze mną. Za to rodzina mamy była bardzo liczna; trzech braci i trzy siostry. Tworzyli oni swego rodzaju polski klan mocno osadzony na tych terenach. Ukraińców przybywało bowiem co roku, coraz odważniej demonstrowali oni swe apetyty dotyczące tych ziem, polskich przecież z dziada pradziada. Franka, zapewne pod wpływem wuja, choć ledwie skończyła dwadzieścia lat, często angażowała się w akcje podkreślające polskość tych ziem.

Gdy wybuchła wojna, ojca wcielono do polskiej armii. Po za-

kończeniu kampanii wrześniowej wrócił do domu, który znalazł się do 1941 roku na terenie pod okupacją radziecką. Mundur i karabin schował na lepsze czasy, przebrał się w cywilne ubranie i zajął stolarstwem.

W roku 1944, gdy Armia Czerwona ruszyła na Berlin, sąsiedzi donieśli Rosjanom, że ojciec trzyma w domu nie tylko polski mundur, lecz także broń przyniesioną z frontu. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Ojciec stanął przed sądem wojskowym; szybko znaleźli się sędzia i prokurator, nie było jedynie obrońcy. Wyrok: 15 lat łagru syberyjskiego, miejsce zsyłki: okolice Workuty na północy Związku Radzieckiego, gdzieś w pobliżu koła podbiegunowego. Ojciec i tak miał szczęście, że nie został wydany Rosjanom na początku okupacji, zaraz po 17 września 1939 roku. Znalazłby się wtedy wraz z innymi polskimi oficerami w Katyniu. Straciłby nie tylko wolność, ale i życie.

Zostaliśmy zatem tylko we trójkę. Mama, ja i mój młodszy brat Michał. Michał miał wtedy zaledwie rok, ja — pięć lat. Byłem w tym czasie dzieckiem bardzo chorowitym, każde moje kichnięcie przyprawiało matkę o drżenie serca. Szybko jednak wyrosłem z tych chorób i do tej pory nie narzekam na zdrowie.

Mama po aresztowaniu męża nie kryła swej wrogości do Rosjan i Ukraińców. Często odwiedzała miejscowości zamieszkałe wyłącznie przez Ukraińców, gdzie znajdowały się siedziby Ukraińskiej Armii Powstańczej. Tam otwarcie demonstrowała swą polskość, wychodząc z założenia, że Ukraińcy nie podniosą ręki na jedyną żywicielkę dwóch chłopców, których ojca aresztowali Rosjanie. UPA nie kochała przecież Rosjan. Pomyliła się jednak, i to strasznie. Dowództwo UPA w tym rejonie podjęło decyzję o jej likwidacji. Wyrok mieli wykonać dwaj członkowie UPA z miejscowości Prusie — ojciec i jego kilkunastoletni syn.

Egzekucji dokonano 19 kwietnia 1945 roku przez rozstrzelanie, w lesie pod grubym bukiem. Matka miała niecałe 29 lat. Przed śmiercią prosiła oprawców o łaskę. — Mam dwoje małych dzieci, kto zajmie się ich wychowaniem? — błagała. — Jest tylko stara babcia, ich ojciec odsiaduje wyrok na Syberii, nie wiadomo nawet, czy żyje.

— Wiemy to — odparł jeden z zabójców — ale wyrok jest wyrokiem i musimy go wykonać.

O tym wszystkim dowiedziałem się już jako dorosły człowiek. Sześćdziesiąt lat po tej egzekucji wyznał to tuż przed śmiercią młodszy z morderców (jego ojciec zmarł wcześniej), narysował też w obecności milicjanta miejsce zbrodni. Widocznie sumienie nie pozwalało mu spokojnie odejść z tego świata.

Policjant, który przyjął zeznanie umierającego bandyty, natychmiast poinformował o nim rodzinę zamordowanej, a ta zawiadomiła mnie. Pojechaliśmy z Michałem i naszym kuzynem mieszkającym wciąż na tym terenie na miejsce zabójstwa. Nie można było dokonać ekshumacji urzędowej, bo minęło ponad pięćdziesiąt lat. Sami więc odkopaliśmy to, co pozostało po mamie. Niewiele tego było, bo ciało zakopano przecież bez trumny. Szczątki wzięliśmy do przywiezionej urny, by pochować je w sposób cywilizowany.

Tak też się stało. W 2005 roku proboszcz parafii św. Katarzyny w Warszawie ksiądz prałat Józef Maj odprawił mszę i dokonał symbolicznego pochówku. Na pogrzeb przyjechała rodzina z całej Polski i najbliżsi znajomi. Od tej pory matka nie leży bezimiennie w lesie, lecz na cmentarzu, wśród ludzi. Mogę na jej grobie położyć kwiaty i zapalać znicze. Przedtem zawsze na Wszystkich Świętych zapalałem znicz na obcym grobie, często bezimiennym, opuszczonym, by w ten sposób uczcić pamięć matki.

Gdy prezydent Kwaśniewski przeproszał Ukraińców za akcję „Wisła”, ostro przeciwko temu zaprotestowałem. „Wśród tysięcy osób zamordowanych przez UPA w latach 1944–47 znalazła się moja matka — napisałem w liście do redakcji »Gazety Wyborczej«. — Jej jedyną winą było polskie pochodzenie. Wraz z bratem uniknęliśmy śmierci tylko dlatego, że w tym czasie przebywaliśmy u babci po polskiej stronie granicy. Do tej pory ani mnie, ani mnie podobnych nikt nie przeprosił i nie życzę sobie, by ktokolwiek przeproszał Ukraińców w moim imieniu”. „Gazeta Wyborcza” opublikowała ten list tuż pod listem prezydenta Kwaśniewskiego do uczestników konferencji zorganizowanej przez Instytut Pamięci Narodowej, w którym wyraził on ubolewanie za akcję „Wisła”. Mój list przedrukowało wiele gazet, w tym „Nasza Polska” i „Trybuna”.

Po śmierci matki zaopiekowała się nami babcia. Była już pewna, że mama nie żyje, gdyż żona mordercy przysłała przez kogoś worek pszenicy dla sierot. Ale ja całymi dniami siedziałem przy oknie

i wypatrywałem powrotu mamy, wierzyłem, że w końcu wróci, tak bardzo ją przecież kochałem. Nikt nie odważył się powiedzieć mi, że już mamy nie zobaczę.

Babcia widząc, jak cierpię, rozpieszczała mnie. A ja nie zawsze byłem jej posłuszny. Szczególnie nie lubiłem Ukraińca — adora-tora swojej ciotki, wówczas osiemnastoletniej dziewczyny. Które-go dnia od sławojki stojącej na podwórzu odłączyłem dwie deski zakrywające z tyłu pupę, zacząłem się w krzakach z procą i ołowianymi kulkami wyjętymi z pocisku artyleryjskiego. Czekałem na dogodny moment, gdy chłopak ciotki będzie musiał skorzystać z przybytku. Wreszcie nadszedł ten moment. Absztyfikant usiadł wygodnie w sławojce, proca świsnęła, a ołowiana kulka wylądowa-ła tam, gdzie miała wylądować. Chłopak ze strasznym wrzaskiem wyskoczył ze sławojki, złorzecząc ile wlezie. Dostałem lanie, ale cel został osiągnięty — amant zrezygnował z małżeństwa. Ciocia do końca życia nie wyszła już za męża, tak bardzo była w Ukraińcu zakochana.

Pomimo że byłem sierotą, wyrastałem w przyjaznej atmosfere. Byłem wtedy ulubieńcem księdza Winiasza, proboszcza miejscowej parafii. Służyłem często do mszy jako ministrant. Łaciński tekst ministrantury znałem doskonale, wiedziałem też, co i kiedy ministrant powinien zrobić przy ołtarzu. Ksiądz nie krył swoich prognoz co do mojej przyszłości:

— Powinieneś zostać księdzem, masz doskonałe predyspozycje do tego — powtarzał mi nawet wtedy, gdy byłem już profesorem ekonomii. — Na to, by zostać księdzem, nigdy nie jest za późno — mawiał.

Wśród rówieśników wyróżniałem się inteligencją, potrafiłem z zebranych faktów wyciągać trafne wnioski. Szczególnie pasjono-wałem się historią, całymi dniami i wieczorami czytałem książki wojenne. Koledzy przezywali mnie panem, uważali, że wyjadę do miasta. A ja marzyłem, żeby zostać sławnym człowiekiem, nie wiedziałem tylko, jak to zrobić. Postanowiłem dobrze się uczyć. Byłem uczniem pilnym i zdolnym, kolejne klasy kończyłem z wyróż-nieniem. Miałem jednak w sobie dużo przekory, zawsze szukałem dziury w całym, dyskutowałem z nauczycielami, sprzeciwiałem się niektórym ich opiniom, broniłem własnych racji. Po latach dyrek-

torka szkoły zachowała mnie w pamięci jako wyjątkowo zdolnego, najzdolniejszego, jak stwierdziła, w całej jej pedagogicznej karierze. Czy tak było naprawdę? Pamięć nasza wykazuje tendencję do zatrzymywania obrazów dobrych i eliminowania nieprzyjemnych. Być może też o tej opinii nauczycielki zdecydowała ta reguła.

Do starszych klas szkoły podstawowej — od piątej do siódmej — chodziłem do sąsiedniej miejscowości. Ponadpięciokilometrową trasę z domu babci do szkoły oczywiście pokonywałem pieszo, bo żadnych możliwości dojazdu nie było.

Wraz z ukończeniem szkoły podstawowej skończyły się moje lata dziecięce, a rozpoczął okres dorosłego życia, chociaż miałem dopiero 14 lat. Babcia chorowała, trafiłem więc do Państwowego Domu Dziecka i wylądowałem w Liceum im. Bartosza Głowackiego w Tomaszowie Lubelskim. Zamieszkałem w internacie wraz z kilkunastoma kolegami w jednej sali.

W liceum musiałem już samodzielnie kierować swoim losem. Zamiast hasać z kolegami na boisku, często siedziałem w klasie i myślałem. O czym? O tym, że nikt się o mnie nie troszczy. Ani rodzice, bo ich nie ma, ani babcia, bo chorowała od kilku lat. Babcinę darzyłem uczuciem takim, jakim dzieci darzą matkę i ojca. Rodziców coraz mniej pamiętałem. Bałem się, że wkrótce ich zapomnę, a wtedy będę naprawdę sam.

Czytałem wiele książek, zaszywałem się w licealnej bibliotece bądź też w pokoju w internacie; pod koniec liceum nie mieszkalem już w kilkunastoosobowej sali, ale w kilkuosobowym pokoju w innym internacie ulokowanym w przedwojennej willi.

Uczyłem się nieźle, szczególnie matematyki i polskiego, historii i geografii. Zaliczałem poszczególne lata bez kłopotu, musiałem to robić, by nie stracić opieki Państwowego Domu Dziecka. Miałem jednak jedną wpadkę, która o mały włos nie przekreśliła całej mojej kariery. Będąc już w klasie maturalnej, napisałem wiersz, który okazał się niegroźnym paszkwilem na Radę Pedagogiczną liceum. Nie byłoby wokół tego hałasu, gdyby pozostał on wyłącznie na kartkach papieru. Tymczasem na bazie tego wiersza powstała piosenka, swego rodzaju hymn liceum. Szybko więc hałas wokół niego dotarł do dyrektora i Rady Pedagogicznej. Usłużni koledzy donieśli też, kto jest jego autorem.

Wezwano mnie przed oblicze dyrektora, a potem członków Rady Pedagogicznej i poproszono o przyznanie się do napisania wiersza. Wiedziałem, że nie mogę tego uczynić. Matura była tuż-tuż, a za napisanie wiersza groziło mi usunięcie z liceum. Poszedłem w zaparte, na propozycję: „Przyznaj się, nic ci nie grozi”, odpowiedziałem: „Gdybym to ja napisał, od razu sam bym się przyznał, bez żadnego naciskania”. I to mnie uratowało. Dyrektor do końca nie był pewien, kto napisał wiersz, a mnie dopuszczono do matury. Egzamin dojrzałości zdałem bez kłopotu i stałem się dorosłym człowiekiem.

Nadal nie wiedziałem, jaki wybrać zawód. W tej dziedzinie moje preferencje zmieniały się jak w kalejdoskopie. Po wizycie oficera z Wojskowej Akademii Technicznej w znakomicie leżącym i wyprasowanym mundurze chciałem zostać inżynierem wojskowym. Po wizycie znanego dziennikarza — czułem się studentem Wydziału Dziennikarstwa. Inżynierem nie mogłem zostać, bo w liceum nie nauczono mnie ani chemii, ani fizyki. Chemikiem był dyrektor liceum nadzorujący jednocześnie potężną szklarnię z sałatą, pomidorami i ogórkami. Większość lekcji poświęcona więc była chemii organicznej, co w praktyce oznaczało pielenie upraw w szklarni. Rzecz jasna, wszyscy zaliczyli chemię na piątki lub czwórki, ale nikt nie zdałby najprostszego egzaminu z tego przedmiotu na politechnice.

Z fizyką było jeszcze gorzej. Fizyk był kompletnym analfabetą, nie potrafił podłączyć żadnego woltomierza czy amperomierza, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanym sprzęcie. Pomagał sobie często nogą, która lekko podnoszona lub opuszczana pod stołem powodowała jego drgania, a wraz z nim wskazówek sprzętu pomiarowego. Nie bez powodu fizyka przezywano Magikiem.

Ostatecznie postanowiłem zdawać na Wydział Ekonomii Politycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Zostałem przyjęty bez kłopotu. Egzamin zdawałem z matematyki i historii, z obu przedmiotów byłem świetny w liceum, a poza tym byłem sierotą, co zapewniło mi przychyłność komisji egzaminacyjnej.

Ten kierunek studiów miał wtedy charakter wysoce elitarny. Tu również trafiali synalkowie notabli, rozbijający się własnymi luksusowymi samochodami. Na moim roku studiowało nie wię-

cej niż dwadzieścia osób. Za to kadra wykładowców była doborowa: Oskar Lange, Włodzimierz Brus, Henryk Greniewski, Adam Schaff i wielu innych prominentnych profesorów.

Dlaczego wybrałem ekonomię? Raczej przypadkowo, chciałem studiować na dziennikarstwie, ale akurat w tym roku, gdy startowałem na wyższą uczelnię, zlikwidowano ten wydział. Papiery mi zwrócono i doradzono studia na Wydziale Ekonomii Politycznej, „po których też można pisywać do gazet”, a poza tym otrzymuje się konkretny fach.

Do akademika na Kickiego przyjechałem z jedną tekturową walizką, którą dostałem w domu dziecka. Były w niej zapasowe spodnie i koszula, sweter i parę innych drobiazgów. Ówczesne akademiki różniły się od dzisiejszych. W niezbyt dużych pokojach na piętrowych łóżkach kwaterowano po czterech, pięciu studentów, czasami nawet więcej. O pracy naukowej w pokojach nie mogło być więc mowy. Koledzy często grywali w brydża, pokera czy oczko. Prowadzili dyskusje na przeróżne tematy. Od czasu do czasu podrywali dziewczyny do łóżka, wtedy trzeba było pozbyć się współlokatorów. Obowiązywała zasada pokrywania kosztów biletów do kina.

Tego typu przygody nie bardzo mnie pociągały. Moim zdaniem takie łatwe dziewczyny nie były warte uwagi, a przy tym często były mało atrakcyjne. Większości kolegów to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie — zaliczane panienki były przedmiotem przechwałek, wręcz dumy.

Pozostawałem więc na uboczu tego nurtu życia akademickiego, choć na brak powodzenia nie mogłem się uskarżać. Byłem przystojny, dobrze zbudowany, latem ładnie opalony, z fryzurą à la James Dean, nosiłem modne dzinsy i na ogół niebieskie swetry. Nie piłem i nie paliłem. Pokazywałem się oczywiście z różnymi dziewczynami, ale wszystko kończyło się na przyjaźni, przy czym bardziej zaangażowane na ogół były kobiety, ja pozostawałem pasywny i czekałem na tę jedyną.

Dzinsy wygrałem w karty od Edwarda Stachury, polskiego repatrianta, który świeżo wrócił z Francji. Przywiózł kilka par spodni w najmodniejszym kolorze blue, a także... zamiłowanie do pokera. Grywał całymi nocami w akademiku, ale szczęścia w kartach

raczej nie miał. Miał je za to w miłości; kochała się w nim bez opamiętania ładna, nieduża brunetka Zyta, też studentka, mieszkająca na Kickiego w żeńskim akademiku. Przesiadywała stale u Stachury, próbując odciągnąć go od nałogu.

Którejś nocy Edward przegrał wszystko, nawet spodnie, które miał na sobie. Z „pokerowni”, którą tym razem był pokój cichej nauki, wrócił do łóżka tylko w bieliźnie. Oczywiście następnego dnia odzyskał ubranie, bo w czym miał chodzić na wykłady.

Już wtedy Stachura pisywał swe dziwne wiersze i tworzył zręby przyszłej sławy, także jako oryginał, nie tylko literat. Chodził do klubów studenckich, nie stronił od kieliszka, był raczej małomówny. Ożenił się z Zytą, która szalała na jego punkcie. Usiłowała zrobić z niego cywilizowanego człowieka, ale on stawiał opory. Chciał być oryginalny i był oryginalny w każdym calu. Zyta zapłaciła za to wysoką cenę.

Po latach Stachura stał się sławny, wokół jego osoby powstał mit człowieka walczącego z banalnością codziennego życia, poszukującego głębszego sensu. Nie znalazł go chyba. Targnął się na życie, ale go odratowano. Powtórka była skuteczna...

Pierwsze trzy lata studiów minęły szybko, można byłoby powiedzieć — bez większych emocji, gdyby nie to, że jak byłem na pierwszym roku, zmarła babcia, która poniekąd zastępowała mi matkę i kochała jak własnego syna. Babcia zachorowała, gdy byłem jeszcze w klasie maturalnej. Pojechałem do niej w czasie wakacji. Już wtedy nie miała sił, by wstać z łóżka. Całymi godzinami siedziałem przy niej, czytałem książki, opowiadałem różne historie, chciałem, żeby była szczęśliwa, i była. Gdy wyjeżdżałem po wakacjach na studia do Warszawy, babcia wiedziała, że już nigdy mnie nie zobaczy. Do dziś nie wiem, jakim cudem babcia wstała wtedy z łóżka i wyszła przed dom, by pomachać mi ostatni raz. Żyła jeszcze niecałe pół roku. Zmarła przed świętami Bożego Narodzenia. Wiadomość ta uderzyła we mnie jak piorun. Nie miałem odwagi pojechać na pogrzeb. Zamiast tego wybrałem się na obóz studencki w Sudety. Wytrzymałem tylko parę godzin, spakowałem manatki i bez pożegnania z kimkolwiek pojechałem do babci. Było już po pogrzebie, na cmentarzu łatwo odnalazłem świeżą mogiłę, nawet nie płakałem, w oczach nie było już łez.

Po paru dniach wróciłem na uniwersytet, właśnie kończyły się ferie.

Kolejne semestry zaliczałem bez kłopotów. Dużo pracowałem, całymi dniami wysiadywałem w bibliotece uniwersyteckiej bądź też w pokoju cichej nauki w akademiku. Nazywano go pokojem cichej miłości, ale dla mnie było to naprawdę miejsce, gdzie można było w spokoju przestudiować książki, przemyśleć wykłady, odrobić ćwiczenia. Moja pracowitość trochę irytowała kolegów, którzy zdecydowanie woleli inne zajęcia.

Musiałem nie tylko się uczyć, lecz także pracować. Na uniwersytecie otrzymałem wszelkie możliwe stypendia; miałem opłacony akademik i wyżywienie w stołówce. Zapewniało mi to dach nad głową i trzy posiłki dziennie. Na wszystko inne: ubranie, buty, bilety miejskiej komunikacji, kino itd. musiałem zarobić.

Pracowałem więc dorywczo w studenckiej spółdzielni usługowej „Plastuś”, do której zarówno przedsiębiorstwa państwowe, jak też osoby prywatne zgłaszały zapotrzebowanie na różnego typu prace: sprzątanie, przenoszenie mebli, korepetycje (głównie z matematyki), pilnowanie dzieci itp. Można było zarobić parę groszy, żeby pójść do kawiarni, zafundować dziewczynie ciastko z kremem i wypić herbatę lub kawę. Przy większym szczęściu można było nawet zarobić na kupno garnituru, butów czy płaszcza.

Podstawowym źródłem dochodów były jednak prace wakacyjne w charakterze likwidatora szkód w uprawach powodowanych przez grad lub powódzie. Państwowy Zakład Ubezpieczeń na potęgę szukał studentów do tego typu pracy. Byli inteligentni, nie upijali się na wsi, a sporządzane przez nich protokoły strat rzadko nasuwały wątpliwości nie tylko poszkodowanych, lecz także urzędników z PZU.

Ukończyłem kurs, uzyskałem certyfikat likwidatora szkód i znikąłem zwykle na dwa wakacyjne miesiące. Razem ze mną wysyłano tzw. mocne głowy, a więc likwidatorów opijających interes z chłopami, którzy nigdy nie dawali sobie wytłumaczyć, że ja nie piję. Mieli takie podejście: nie pije, znaczy ma wrogie intencje, przyjechał, by nas oszukać. Dlatego chłopci nie chcieli podpisywać protokołów, a nawet ślali skargi do PZU. Wysyłano wtedy kontrolę, z reguły nie znajdowała ona żadnych uchybień, ale sprawa

się komplikowała. Na wszelki wypadek likwidatora ze skargami (słusznymi czy niesłusznymi, nie miało to znaczenia) odsuwano na dalszy plan, musiał dłużej czekać na delegację, wysyłano go daleko od centrali, często wypożyczano do innego województwa.

Dlatego też ochoczo przystawałem na dokooptowanie niewylewających za kołnierz kolegów (jeden z nich do dzisiaj kręci się po Mokotowie, wita się ze mną jak z dawnym przyjacielem i jest rad ze spotkania). Prawie zawsze byli to nie studenci, lecz mężczyźni, którzy chcieli zarobić w czasie wakacji, by przez cały rok nie pracować. Sytuacja wyglądała więc tak: ja wczesnym rankiem szedłem w pole, oceniałem straty w kolejnych gospodarstwach, mierzyłem zasiewy i przygotowywałem dane do wieczornych prac obliczeniowych. Kolega spał do południa, potem jadł wspólnie ze mną obiad i przygotowywał się do suto zakrapianej kolacji. Ja natomiast zasztywałem się w zacisznym pokoju i do późna w nocy robiłem obliczenia. Tak było przez dwa miesiące, po czym kolega od opijania udawał się na kurację odwykową, ja zaś musiałem zniknąć szybko ze wsi, bo chłopki przyprowadzały córki gotowe do zamążpójścia za niepijącego „pana inżyniera”.

Praca w charakterze likwidatora szkód w uprawach, często przez całe wakacje, dawała mi zasoby finansowe na cały rok. Lokowałem je w PKO na poważniejsze wydatki. Wydatki bieżące finansowałem z pracy w „Plastusiu”. Dzięki temu stałem się niezależny finansowo, nie byłem zdany na datki rodziny, która, prawdę mówiąc, żyła w niedostatku i pomagać mi nie mogła.

Pomimo tej pozornej stabilizacji bez przerwy nurtowały mnie dwie myśli. Pierwsza — gdzie znajduje się ciało matki? I druga — co stało się z ojcem?

W korcu maku

Trzy lata później na Kickiego wylądowała również Hanka, w akademiku żeńskim, po drugiej stronie ulicy. Mogła otrzymać skierowanie z uniwersytetu do jednego z kilku innych żeńskich akademików, a jednak trafiła tu. Ślepy los czy jakaś siła ściągnęła ją tam, gdzie byłem ja?